

*jarosław
wojciechowski*

ochroniarz



Jarosław Wojciechowski

OCHRONIARZ

© Copyright by Jarosław Wojciechowski & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Magdalena Lelonkiewicz
Konsultacja: Henryk Rumiński, Małgorzata Bała
Redakcja: Barbara Marciniak, Wiesław Marciniak.
ISBN 978- 83- 7859- 039- 2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e- bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II 2012

Żadna część tej książki nie może być zapisana czy przekazywana w sposób mechaniczny, elektroniczny lub foniczny i w jakiegokolwiek innej formie bez uprzedniej zgody autora.

Dedykuję wszystkim pracownikom ochrony.

Słowo wstępne

„Śmiech mi tylko został, śmiech jeden wielki wyspiewany z okien lat minionych”

Jarosław Wojciechowski to twórca, który lubi zaskakiwać. Dotąd poznaliśmy go w roli niepokornego poety, który mierzył się ze światem w najróżniejszych odsłonach. Szarpał, gryzł, wył, ironizował, bo cóż innego z tym wydaniem rzeczywistości było robić. A tu nagle odkrywamy Jarosława Wojciechowskiego prozaika – zupełnie nowa odsłona kogoś, kto na dodatek puszcza nam zza zasłony prozy perskie oczko poety, bawiąc się przy tym wyśmienicie.

Mamy przed sobą powiastkę filozoficzną nieźle umiejscowioną w rzeczywistości. Jarek proponuje nowego bohatera, którego jeszcze w literaturze nie zauważono. Do galerii cwałnych, mądrych życiowo, mocno stojących na nogach barmanów, dorożkarzy czy cieciców wprowadził postać jeszcze nienacelowaną i nieodkrytą przez literaturę – pracownika ochrony, który prowadzi dziwny flirt ze swoim miejscem pracy. Niby to

facet z tego świata, ale co chwila przekracza realne wymiary i dostrzega onirycznie – symboliczną przestrzeń pełną cudów i dziwactw. I nie tylko dostrzega – wchodzi z nią w relacje, poszukuje jej, jakby wymierność do życia i szczęścia mu nie wystarczała.

Przestrzeń literacka, jaką autor nam zaproponował, jest jednocześnie zamknięta i otwarta – dwoistość dla tej książki zresztą charakterystyczna. Bohater jest umiejscowiony w pewnym oszklonym z trzech stron kontenerze – miejscu swojej pracy. Ten punkt jest środkiem jego uniwersum. Usytuowany centralnie jest jednocześnie obserwatorem i więźniem z wyboru całkiem szczęśliwym w tym azylu. Zupełnie jak w loży widzi wszystko i rozkoszuje się uczcią dla duszy i ciała. Opuszcza ją zresztą regularnie, by dołączyć się do harców rzeczywistości czy fantasmagorii, bo ciągle jego spokój jest w specyficzny sposób zakłócany. Wciąż wokół niego dzieje się jakieś zawirowanie, zamieszanie. A on w nie wnika, daje się porwać, pozwala sobie zapominać o realnym świecie, pozwala sobie na zagubienie drogi i wyrywa się w przestrzeń, która granic nie posiada.

Kim jest bohater utworu? To ktoś, kto powoli wprowadza nas w swój dziwaczny świat. Z jednej strony przedstawia siebie jako zwykłego człowieka – ochroniarza przez przypadek czy raczej wybór losu odkrywającego sferę, którą dotąd lekceważył albo tylko nie znał – świat ludzi noszących na czarnej koszulce napis OCHRONA. I...jest zaskoczony. Zaskoczony tym, że odkrywa tu takie same problemy, jakie trapią mniej lub bardziej

intelektualnie do życia przygotowanego człowieka. Więcej, że ich sposób przeżywania, radzenia sobie z nimi jest równie rozpaczliwy, równie rwący za serce i równie bezradny. Miłość, zdrada, wredny szef, kłopoty z żoną, notoryczny brak pieniędzy (jak sam autor wielokrotnie mówi – bryndza).

Ten obszar znany doskonale czytelnikowi z autopsji staje się dla autora rodzajem pomostu prowadzącego w wymiar snów, marzeń i to tych z kategorii niebanalnych. Sen – jawa o wędrówkach chcących koniecznie bohatera znęcić za pomocą tajemnicy przenoszonego przez siebie kufra ukrywającego wielki skarb. Sen – jawa ulotny, uciekający w momencie, gdy już przynosił rozwiązania – więc pełen niedomowień i zagadek, które bardzo chcielibyśmy rozwiązać. Ale za rozwiązaniami trzeba biec, wyszukiwać je w każdym nieprawdopodobnym miejscu realnego świata, bo wystarczy tylko krok, by się w tajemnicy zanurzyć. Otoczony pułapkami i wrogami czyhającymi na jego słabość, bohater niczym przewodnik prowadzi nas w coraz dziwniejsze miejsca, pozwala nam swoimi oczami patrzeć na ludzkie słabości, próżność, nikczemność i zwyczajne zaczajone zło. Ale i nieprawdopodobne piękno.

Chyba największą zaletą nowej książki Jarka jest ta łatwość, z jaką oniryczne sceny mieszają się z rzeczywistością. Błyskawiczne przechodzenie od zabawy w kreowanie rzeczywistości do groteskowych, pełnych zjadliwości komentarzy na współczesny świat, jego małości, podłości ukryte nawet w najbliższym i najbardziej znanych otoczeniu. Dostaje się i politykom i poetom,

wielkim i małym, pijakom i bogaczom. A wszystko napisane stylem często przypominającym Mirona Białoszewskiego „gadania”. Takie mówienie o świecie, który jest i który może być w sposób zrozumiały i często dosadny.

Czego poszukuje bohater w tej dziwacznej wędrówce w głąb swojej wrażliwości i wyobraźni? Na to pytanie niezwykle trudno odpowiedzieć, bo książka wydaje się być jakimś sposobem rozliczenia się z problemami życia – swojego i innych ludzi. Przecież trudności i pułapki los nam rozdziela po równo. Dlatego pojawia się garść anegdot z życia prawdziwych przyjaciół bohatera, który niczym jakiś spowiednik zbiera opowieści. Ich przesłania są drogą do wkroczenia w świat wizji. A to daje z kolei powód do zmierzenia się ze swoimi często pokręconymi emocjami. Tu ujawniają się marzenia o lepszym świecie, tu pojawiają się pułapki ułudy i tu wreszcie można dać upust swojej złości na doznane od świata i ludzi krzywdy. Stąd często zjadliwość, wściekłość czy ironia i szyderstwo w kreowaniu obrazów postaci z wizji. Czemu więc ma służyć ta wędrówka w głąb siebie? Wydaje się być jakimś rodzajem autoterapii, którą gdy się przeprowadzi, dozna się swoistego katharsis.

A przecież mimo tak poważnej tematyki forma książki jest często lekka i zabawna. Czasem ma się wrażenie, że autor gubi nas na kolejnym zakręcie swojej wyobraźni, gdy przerzuca nas od jednego do drugiego kręgu swoich wyobrażeń. Jednak autoironia bohatera komentującego również swoje poczynania, garść zabawnych refleksji człowieka przywołującego siebie do

porządku oraz lekkość stwierdzeń pozwala czytelnikowi na chwilowy oddech i częsty uśmiech.

Czy bohater odkryje tajemnicę? Czy zajrzy do kufra? Ile razy wystrychnie na dudka szefa konkurencyjnej firmy ochroniarskiej? I co mają z tym wszystkim wspólnego flirtujące rury kwasoodporne – na te pytania radzę poszukać odpowiedzi w książce Jarosława Wojciechowskiego. Może nie wszystkie zagadki rozwiąże, ale pożywkę dla duszy i ciała podsunie za pomocą inteligentnej sugestii. Dobra zabawa zapewniona. Polecam!

Bożena Laskowska

Rozdział I

Będąc jeszcze dzieckiem – nie pamiętam iluletnim wówczas, miałem ciągle powtarzający się sen. Śniło mi się czterech brodatych mędrców ciągle będących w drodze. Przemierzają pustynię odkąd wyszli z Babilonu. Jedynym ich bagażem był kufer, który dźwigał wielbłąd. Wykonany był z drewna hebanowego okuty z każdej strony płaskimi obręczami z miedzi i srebra. Czas dorastania wypierał ten sen z mojej pamięci, aż go zupełnie wyparł – może raczej odłożył go ad akta. I tak chyba właściwie było, bo po wielu latach któregoś dnia powrócił do mnie niczym bumerang. Przywołał mnie i to tak nieoczekiwanie, że sam się zdumiałem. Nie miałem innego wyjścia, jak powrócić, czyli sięgnąć do wspomnień sennych sprzed wielu lat. A stało to się, kiedy już przekroczyłem 54 lata. Wychowany byłem w realnym socjalizmie. Czy dobrze? Myślę, że tu oceniać mi nie wypada, bo tyle już ocen padło i cokolwiek teraz nie powiedziałbym, to i tak będzie to tego marną kopią. Przyznać jednak się muszę do mojej niewierności – zdradzałem, jakże

często, owe głoszone ideały w klimacie, w którym musiałem żyć, na rzecz pragmatyzmu życiowego. W końcu tak się porobiło, że do reszty zdeprawował mnie tak zwany „zgniły zachód”. Wiele na jego ołtarzu kadzideł spaliłem, by przeprosić za moje urodzenie, czas i miejsce mojego dojrzewania. Może właśnie dlatego moja wrażliwość ducha była tym czynnikiem sprzyjającym przebudzeniu się zapomnianego snu. Dla pełnego obrazu moich zmagañ z sobą i z życiem, które przyszło mi wypełnić jakąś treścią, było ukoronowanie mnie za „szczególne zasługi” – dwoma zawałami serca! Czy coś pojąłem z tego ... no właśnie... czy? Na pewno zastanowiłem się nad tym, co było i co jest, że wszystko przemija i w końcu – ja sam przeminę. Ważne jest, myślę i to, by nie „zamykać drzwi” za sobą. Idąc pewnego dnia ulicą tak zupełnie nieoczekiwanie dopadło mnie wspomnienie mojego snu – tego sprzed wielu lat – zwyczajnie, tak po prostu. Było wyraźnie i sugestywne, a jak pachniało.... Tamtą nocą sprzed lat. Nie opierałem się specjalnie, a wręcz przeciwnie – złapałem pierwszy obraz i trzymałem mocno, by go” wiatr nie porwał”. Przechodziłem właśnie blisko swojego ulubionego lokalu – kawiarni” IMPRESJA. Magia i klimat tam panujący był sprzyjającym utrwalaczem. Tam mogłem znaleźć to coś nieuchwytnego i pięknego. Nie namyślając się zbyt długo, wszedłem do środka, zasiadając przy ulubionym stole. Po chwili piłem kawę, oglądając przed oczami zapomniany sen jak w kinie, tak wyraźnie, że dech zapierało. – Czterech brodatych mędrców ciągle w drodze przez pustynię z jedynym bagażem –

kufrem i wielbłędem szczególnej urody, i oczach błękitnych jak niebo. Teraz miałem okazję dokładnie przyjrzeć się kufrowi. Pięknie wykonany z hebanu i kości słoniowej, wieko wzmocnione obejmami miedzianymi i srebrnymi z wykutymi ornamentami roślinnymi. Ze złota tylko napis po środku – jakaś inskrypcja po persku zdaje mi się. Przepiękna robota. „Dokąd idą?” – pomyślałem – „i skąd?” Nie czekałem długo na odpowiedź, bo sama przyszła do mnie. Wędrowcy uśmiechnęli się, najwyraźniej mnie zauważyli i skinęli głowami na przywitanie. A jeden z nich przemówił.

– Witaj! Bardzo nam miło znowu cię spotkać na naszym szlaku... czekaliśmy.

Byłem skonsternowany. – „Jak to, czekaliśmy?” – pomyślałem! W głębi duszy wiedziałem, że na mnie czekali.

Uśmiechnęli się, jakby czytali w moich myślach niczym w otwartej księdze.

– Tak, czekaliśmy! Bo my ciebie znamy, bo my..

Nie dokończył zdania, może dlatego, że jeszcze nie byłem gotowy, by pojąć istotę sprawy... taka myśl mi po głowie kołatała.

Walczyłem z tą myślą jakiś czas, układając sobie logiczną całość, no, ale nic z tego i tak mi nie wychodziło. To? Co jest? Może przynajmniej uda mi się odpowiedzieć na jedno pytanie: Czy ja śnię? Czy nie... Uszczypnąłem się w lewą rękę, no i co? Nie! Nie śnię! Siedzę, piję kawę i uszczypnięcie czuję. To jednak ja z tym ludźmi rozmawiam! Oni są przy mnie... czy ja przy

nich? Z zakłopotania wyrwali mnie ci czterej wędrowcy, spokojnie i cicho oznajmiając, że oni są naprawdę, a ja z nimi. Pragną mi parę szczegółów zdradzić. Proszą tylko o jedno – o nieprzerywanie. Odruchowo przytaknąłem skinieniem głowy. Pierwszy zaczął mówić ten z krótszą brodą, jeszcze nie siwą jak pozostali dwaj – pewnie o wiele młodszy.

– Powiemy tak, wyruszyliśmy z Babilonu, gdzie kult na kulcie stoi, a rozpusta płynie wartką rzeką i wszechwładna mama na rozum zabrała wszystkim. I nic innego nam nie zostało, jak się oddalić i wyruszyć w poszukiwaniu lepszego stworzenia – człowieka. Godnego, by kamień filozoficzny posiadał. By.... No właśnie? By...

Spojrzeni wymownie wszyscy czterej na kufer, który był zamocowany między dwoma garbami wielbłąda. Do mocowania użyto pasów skórzanych z jaguara – jak oświadczyli zgodnie. Miałem ponad to wrażenie, że wielbłąd oczami z kufrem rozmawia, nie mogłem inaczej myśleć, tak silne było to uczucie.

– Wiesz już, co w nim mamy.

– Tak – kiwnąłem głową.

– A no właśnie... w tym kufrze mamy kamień filozoficzny, kto go posiadzie, zrozumie istotę rzeczy – ludzkiego trwania.

Oczy moje pazerne się zrobiły i chytrość ścisnęła serce. Zapraгнаłem go posiąść! Tylko ja! Jeśli nie, to choć go zobaczyć, zobaczyć, choć na chwilę, na chwilę jedną taką maleńką. Nie wiem kiedy, a skomlałem jak pies:

– Pozwólcie mi tylko zobaczyć, nikomu nie powiem, pozwólcie proszę! Tylko dotknę małym, o tym małym paluszkiem.

Wzniosłem do góry swój najmniejszy palec, demonstrując im przed oczami jego wygląd – chcąc ich przekonać o jego faktycznej wielkości.

I klęczę przed nimi, całuję ich stopy, łzami skrapiając pięknie wykonane ich obuwie. Skórzane, przeplecione po bokach srebrnymi i złotymi blaszkami, przody wysypane drobniutkimi diamentkami. Nie są wiązane, lecz zapinane broszą miedzianą kunsztownie wykonaną. Im więcej skomlałem, tym wizja, czy jak tam to nazwać – sen jawa, zaczęła się kurczyć, rozplýwać niczym mgła poranna, aż w końcu na pustą ścianę patrzyłem. Ból okropny gryzł mnie gdzie popadło – w najczulsze miejsca..., co mogłem w tej sytuacji zrobić – krzyczeć, tylko krzyczeć! Jak wariat?

– Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Nie wiem jak długo tak się darłem, w każdym razie nie miałą sensację wzbudziłem w lokalu. Bo tak nagle, ni z tego ni z owego – gość zaczął krzyczeć. Spojrzenia siedzących ludzi przywróciły mnie do rzeczywistości. Nie pozostało mi nic innego, jak bębnić nerwowo palcami po stole. Za którymś razem wystukałem dla siebie odpowiedź – przez siłę jakąś wiedziony, tak, na pewno, wystukałem!

– Jeszcze się spotkamy, spotkamy się jeszcze...

Cisza nastała, długa i przejmująca, w której wszystkie majaczenia z moim udziałem nabierały kształtów – były karmione

przez moje upadki, z jakimi przyszło mi się zmierzyć w czasie i przestrzeni lat minionych. Tak szybko o nich zapominałem, jakże szybko! Zamykałem je ręką wędrowca w nadziei, że nie wykluje się z nich coś złego. Nieraz bywało, że oddychałem „szklaną” nadzieją, bo nigdzie jej nie widziałem. W końcu i tam zostałem zdradzony i nabity w butelkę, skąd tylko jedna była droga – do pełnej flaszki. I oddychałem wzniosłym bełkotem, który i nawet tym nie był. Aż pewnego dnia zdało mi się, że wyrosło we mnie ciężarne drzewo z urojenia. Gdy sprowadzony zostałem przez siebie samego przed oblicze wyroczni nieomyślnej – usłyszałem jedną prawdę: „Wszystko przemienie, a więc ciesz się ŻYCIEM i żyj każdą jego chwilą godnie”. Reszta to zasłona, poza którą NIKT nie ma wglądu – są tylko domniemania i duchowe eksperymenty.

Gdy tak siedziałem zamyślony, zadzwonił telefon – Odebrać? Czy nie? Odebrać. Rozwahałem nagle powstały dylemat. Odbiorę, tak.

– Słucham!

– Witam! Roman mówi! Ustawiłem Panu nadprogramową jedną więcej służbę, bo rozchorował się Pana zmiennik. Myślę, że nie będziesz miał Pan nic przeciwko temu – taka nagła potrzeba! To, co?

– Jak trzeba, to trzeba. Może Pan na mnie liczyć, w końcu kasy nigdy nie za dużo – dzięki szefie? No to do usłyszenia.

Odłożyłem telefon. Myśli mi latały jak szalone, próbowałem, choć jakąś złapać, ale nic z tego – żadna się nie dała. Nie pozო-

stało mi nic innego, jak zapłacić za kawę i iść do domu. Pocięszał mnie fakt jutrzejszej pracy, bo jakkolwiek by nie było, byłem w końcu rencistą – iluzjotowym nie wspomnę nawet, by ktoś ze śmiechu nie zasłabł. Dorobienie tych parę złotych to było coś (w końcu!) na co mogłem liczyć, jak naokoło „bryndza”. Poza tym specyfika tej pracy nie była taka najgorsza. Ciekawiła mnie i intrygowała.